AGNIESZKA SAWICZ



flow

TRZY BAJKI
OPOWIEŚĆ ZIMOWA

TRZY BAJKI
OPOWIEŚĆ ZIMOWA

AGNIESZKA SAWICZ



TRZY BAJKI
OPOWIEŚĆ ZIMOWA

flow

Projekt okładki:
Andrzej Lademann z wykorzystaniem narzędzi AI

Ilustracje w książce i na okładce:
AI; 644910388, 924020777, 1268959327 / AdobeStock

Redakcja:
Anna Żochowska

Redakcja techniczna oraz opracowanie wersji elektronicznej:
Andrzej Lademann / komart.com.pl

Skład:
Joanna Więcławska

Korekta:
Joanna Kłos

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiejkolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych. Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

Wydanie I, Gdańsk 2026

Copyright © 2026 by Agnieszka Sawicz
Copyright © 2026 by Wydawnictwo FLOW

ISBN 978-83-8364-237-6
ISBN 978-83-8364-255-0 (wersja z barwionymi brzegami)

Druk i oprawa:
Zapolex Sp. z o.o.

flow

Wydawnictwo FLOW Sp. z o.o.
ul. Potokowa 2/3, 80-283 Gdańsk
wydawnictwoflow.pl

Wszystkim, którzy czasem uciekają,
pragnąc odnaleźć siebie.



BAJKA PIERWSZA

w której Rafała rzuca narzeczona, czyli jak to wszystko (tym razem) się zaczęło

– Naprawdę mógłbym wprowadzić się już dzisiaj? – W głosie mężczyzny słychać było nadzieję podszytą desperacją.

– Więc jest pan zdecydowany na wynajem? – Pośrednik spojrzał na niego z niedowierzaniem. Albo ten człowiek wcale go nie słuchał, albo rzeczywiście miał nóż na gardle. Z dwojga złego wolałby tę pierwszą opcję. Druga kojarzyła mu się z kiepskimi kryminałami.

– Jestem. Cena mi odpowiada, lokalizacja także. Nie przeszkadza mi też bojler w łazience, poradzę z nim sobie. Jakby się zastanowić, jest lepszym rozwiązaniem niż stały dostęp do ciepłej wody. Przypuszczam, że pozwala nieco zaoszczędzić...

– Owszem, jeśli będzie pan hołdował tradycji kąpieli raz w tygodniu. Niemniej muszę mieć pewność, że nie będzie pan wnosił zażaleń związanych z funkcją inspiracyjną mieszkania.

Rafał sprawiał wrażenie kogoś, kto nie do końca rozumie, co się do niego mówi. W jaki sposób miałoby mu przeszkadzać to, że kawalerka, którą zamierzał wynająć, natchnęła kogoś do napisania książki?

– Jeśli tylko nie pojawiają się tutaj pielgrzymki fanów pisarza albo jego dzieła, nie widzę żadnego problemu.

– I gotów jest pan złożyć oświadczenie na piśmie?

– Skoro to dla pana takie ważne...

– Oczywiście. Musimy mieć jasną sytuację. – Pośrednik sięgnął do teczki i wyjął z niej stosowne formularze. – Oto umowa najmu, tutaj pokwitowanie wpłaty kaucji. Płaci pan gotówką czy przelewem?

– Przelewem, jeśli mogę.

– Pański wybór. Proszę zatem dokonać płatności, a ja w tym czasie raz jeszcze się upewnię, że właściwie przygotowałem dokumentację. – Chwilę później telefon zawibrował. Pośrednik odblokował klawiaturę i odczytał wiadomość. – Cała kwota wpłynęła na konto, może pan już podpisywać. Proszę o autograf tutaj, tu i jeszcze jeden tutaj...

Rafał zobaczył, że tym razem nie jest to wydruk, a odręcznie napisana krótka formułka. Na szczęście ktoś, kto ją sporządził, miał niezwykle czytelne pismo.

– Potrafi pan przeczytać?

– Jasne, stara szkoła kaligrafii.

– Poproszę głośno. Muszę mieć pewność, że niczego pan nie pominął.

„Dziwak", pomyślał potencjalny najemca, ale spełnił jego prośbę. W końcu od tego zależało, czy będzie miał gdzie dzisiaj spać.

– Ja, Rafał Sobierajski, będąc w pełni władz umysłowych, oświadczam, że zostałem zapoznany z sytuacją mieszkania numer siedem przy ulicy Husyckiej, w kamienicy pod numerem trzy. Tym samym odstępuję od jakichkolwiek roszczeń związanych z potencjalnymi niedogodnościami, jakie wiążą się z tym, że jest to lokal inspiracyjny.

– Boże, brzmi prawie jak „konspiracyjny". Czy niedogodności nie powinny zostać wyszczególnione?

Pośrednik pokręcił głową.

– Niestety nie możemy przewidzieć, czy w ogóle jakiekolwiek wystąpią, a jeśli się pojawią, jaki będą miały charakter. Uprzedzałem pana przed chwilą, co może się wydarzyć. Czy mam powtórzyć? – W jego głosie dało się wyczuć lekkie zniecierpliwienie i Rafał wystraszył się, że mężczyzna zgarnie papiery i oznajmi mu, że ma na jego miejsce kilka innych osób. Za tę cenę lista chętnych musiała być naprawdę długa.

– Nie, nie ma takiej potrzeby! Słuchałem pana uważnie. Już podpisałem – powiedział Rafał i przesunął kartkę w stronę pośrednika.

Ten nawet na nią nie spojrzał. Złożył ją na pół, wsunął do beżowej koperty. Poślinił brzeg i starannie zakleił, po czym sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjął z niej pióro i zapisał na kopercie datę dzienną. Sobierajskiemu udało się tylko podejrzeć, że najprawdopodobniej nie on był autorem tej dziwacznej formuły. Jego litery były kanciaste, przypominały nieco pismo techniczne.

No tak, przecież wspominał, że nie jest właścicielem mieszkania. Zapewne jest nim jakiś starszy człowiek, a tacy mają swoje fanaberie.

– Dobrze. Formalności za nami, pozostaje mi wręczyć panu klucze i życzyć... – Mężczyzna zawahał się, co mogło świadczyć na jego korzyść. Skoro nie miał nic miłego do powiedzenia, najwyraźniej nie chciał kłamać. Z kolei jeśli nie kłamał w tak banalnej kwestii – niewykluczone, że był też szczery, opowiadając o wadach i zaletach kawalerki.

Rafał zalety widział dwie i te w zupełności mu wystarczały, a na pewno przesłaniały potencjalne wady, które – jak zrozumiał – wcale nie musiały wystąpić. Pierwszym udogodnieniem była śmiesznie niska cena, a drugim, w jego sytuacji o wiele istotniejszym, natychmiastowa dostępność lokalu. Mógł się wprowadzić dziś i po zaledwie trzech nocach zakończyć przygodę z bezdomnością.

Wylądował na ulicy tylko dlatego, że był człowiekiem nietolerancyjnym i niepunktualnym. Obiecał bowiem Magdzie, że wróci do domu w czwartek, samolotem, który będzie lądował o dwudziestej drugiej, po czym nie dotrzymał słowa.

– Niech ci nawet nie przyjdzie do głowy, by po mnie wychodzić! – zapowiedział. – To za późna pora na włóczenie się po mieście. Lepiej będzie, jeśli zrobisz mi kilka kanapek, jak na wzorową panią domu przystało – zażartował. Magda nie potrafiła prosto ukroić chleba, posmarowanie go masłem i obłożenie serkiem też przekraczało jej możliwości. Wydawałoby się, że absolutny brak kulinarnych umiejętności to mit, ale ona była wyjątkiem potwierdzającym regułę. Wychowana w bogatym domu, w którym pani Stasia podawała jej każdego ranka śniadanie, obiady jadała w stołówce prywatnej szkoły, a wieczorem obsługiwana była przez panią Wierę, bo Stasia pracowała tylko na poranną zmianę, nie musiała samodzielnie robić absolutnie

nic. Nigdy nawet nie pomyślała, że może być to powód do wstydu, swego rodzaju ułomność.

Dopiero gdy podrosła, poczuła potrzebę zaprzyjaźnienia się z kilkoma kuchennymi sprzętami, ale ostatecznie ograniczyła się do ekspresu do kawy, mikrofalówki i tostera. Te umiejętności pozwoliły jej przetrwać studia i łagodnie wejść w dorosłość w apartamencie kupionym przez rodziców na dwudzieste piąte urodziny. Wcześniej go nie potrzebowała, nauki pobierała w Paryżu i długo się wahała, czy w ogóle wracać do Polski. Ostatecznie przekonała ją intratna posada w firmie wuja Marcina oraz – Rafał bardzo chciał w to wierzyć – związek z obiecującym młodym naukowcem.

Poznali się na lotnisku. On wybierał się na konferencję do Madrytu, ona leciała oglądać nieruchomości. Zamierzała kupić niewielkie mieszkanko, bo tak przecież robili teraz wszyscy jej znajomi, lekceważąc przy tym ostrzeżenia klimatologów zapowiadających, że już za kilka lat południe Europy będzie miejscem, z którego ludzie zaczną uciekać przed pożarami i spiekotą.

On nalewał wodę do butelki filtrującej z poidełka zainstalowanego w hali odlotów, ona zachwyciła się jego proekologicznym podejściem do świata.

– Niesamowite! Że też na to nie wpadłam! W ten sposób zużywasz mniej butelek, nie zaśmiecasz środowiska. Też będę musiała sobie taką sprawić – stwierdziła, patrząc na Rafała z zaciekawieniem.

– Polecam, supersprawa. – Sobierajski ucieszył się jej zainteresowaniem. Była nieco od niego młodsza, filigranowa i miała krótko ścięte włosy, co uważał za największy atut współczesnej kobiety. Nie mógł patrzeć na te wszystkie

długowłose nijakie dziewczyny, wyglądające jak klony tej samej topielicy. – Nie masz pojęcia, ile kasy można zaoszczędzić. W promocji kupisz taką za mniej niż trzy dychy, a już po trzecim napełnieniu w takim miejscu jak lotnisko zaczniesz generować zyski. Ceny są tutaj koszmarne – skrzywił się wymownie.

Magda też się skrzywiła, choć wtedy nie miał pojęcia, że jej reakcja na te słowa o ekonomii była zgoła inna. Ona zwykle unikała osób, które liczą każdy grosz – uważała, że to irytujące przyzwyczajenie, odbierające radość z przeżywanej chwili. On był przekonany, że połączyła ich wspólnota doświadczeń, głębia cierpienia na widok małej mineralnej za piętnaście złotych.

Pewnie dlatego, że nie wyjaśnili tej wątpliwości, rozpoczęli rozmowę, a gdy się okazało, że przez fatalny błąd w systemie Magda ma w samolocie miejsce obok Rafała, a nie w pierwszej klasie, uznali to za dobry omen, którego nie wolno zlekceważyć.

Z czasem Rafał nauczył się udawać, że po habilitacji będzie zarabiał krocie, a Magda, że mu wierzy. W zasadzie dogadywali się całkiem nieźle, mieli podobne poczucie humoru, oboje lubili teatr i podróże, za które ona płaciła, ale on wszystko planował, więc uznawali, że odpowiedzialność rozkłada się po równo. Z czasem jej rodzice pogodzili się z myślą, że będą mieć zięcia profesora – ostatecznie są w życiu większe tragedie, a stać ich było, by zadbać o ukochaną córeczkę, nawet jeśli mąż nie będzie mógł jej kupić willi z podgrzewanym basenem. „Niech zarobi na rachunki, będzie czuł się potrzebny", pocieszała się przyszła teściowa, podpisując u notariusza akt darowizny nieruchomości.

Teść pocieszać się nie musiał, bo był zadowolony, że ma z kim grać w warcaby. O szachach nie miał bladego pojęcia, od lat przekonywał więc wszystkich, jak niedocenianą rozrywką intelektualną jest skakanie pionkami po planszy, wymyślone tysiąc lat temu.

– Powstały u nas, w Europie! Żadne tam hinduskie wynalazki, tylko owoc przemyśleń naszych przodków, białych ludzi. Zasady są tylko z pozoru prostsze, ale wytrawni gracze wiedzą, że nie spisano ich dla prostaczków – przekonywał, mrużąc migdałowe, nieco skośne oczy, wskazujące na obecność w drzewie genealogicznym kogoś z drużyny Czyngis-chana. Magda miała takie same.

W ten sposób, rozpoczynając kolejną partyjkę, Rafał leczył kompleksy Jędrzeja Walickiego, co najwyraźniej nie wystarczyło, by pozostać atrakcyjnym również w oczach jego córki.

Pieniądze na pierścionek z diamentem („skromny, ale gustowny") posiadł za sprawą uczelnianej pożyczki na remont mieszkania – jedynej, którą mógł dostać w miarę szybko, bez horrendalnego oprocentowania i konieczności przedstawiania później rachunków za lodówkę i zmywarkę. Magda z uśmiechem przyjęła oświadczyny na szczycie Babiej Góry, acz bez większego entuzjazmu, co tłumaczył wówczas zmęczeniem, a nie rozczarowaniem oprawą tego wydarzenia.

Dopiero gdy podsłuchał rozmowę teściowej z jej szwagierką, uzmysłowił sobie, że strona z poradami, jak wywrzeć wrażenie na dziewczynie, którą chce się poślubić, była prowadzona przez dyletanta. Symbolika zawarta w nazwie góry, we wspólnym zdobywaniu szczytu i rzucaniu ukochanej

świata do stóp nie została właściwie odczytana. Powiało biedą, tandetą i brakiem zaangażowania.

Może dlatego Magda zdecydowała się przed czterema dniami spędzić wieczór nie na przygotowaniu kanapek, a w ramionach kolegi z pracy? Do tego młodszego od niej, po prostu dzieciaka! Czym on mógł jej zaimponować? Nawet nie urodą, bo w jego przypadku pewność siebie zdecydowanie wyprzedzała lustro.

Może chodziło właśnie o tę przebojowość skrzyżowaną z butą? Współczesny macho, karmiący ego komentarzami w sieci, widocznie trafiał w gust jego dziewczyny.

W sumie trywialnie.

Powody nie miały jednak już żadnego znaczenia. Upokorzony Rafał nie zamierzał ciągnąć tego związku. Magda także, bo chętnie poparła kolegę – Wojtusia, który prezentował w kuchennych drzwiach klasyczne białe slipki i minę zdobywcy oraz kazał mu nie rozpakowywać walizki.

Dziewczyna dodała radę, żeby do drugiej dopakował wszystko, co uzna za słuszne, oraz pamiętał o plecaku, tym samym, który dźwigał w Beskidach („Chyba nie myślisz, że będzie mi jeszcze potrzebny?"). Następnie zażądała zwrotu kluczy i podania adresu, na który odeśle jego szpargały, książki i tego misia, który siedzi na półce.

Tu Magda prychnęła śmiechem, a Rafał oniemiał.

Nawet gdyby przez ułamek sekundy rozważał przeproszenie narzeczonej za wcześniejszy powrót, niedostateczne zarobki i tę Babią Górę... Nawet gdyby ona rzuciła mu się do kolan, błagając o przebaczenie i krzycząc, że wyszła z tym Wojtkiem tylko na kawę, by pomóc mu przy prezentacji, a on musiał jej czegoś dosypać i nie wie, co się z nią działo

oraz dlaczego ma na sobie ten czerwony pas do pończoch... Nawet gdyby jakimś cudem mogli zapomnieć o zdradzie – wyśmianiem misia Magda przekreśliła wszystko.

Towarzyszył mu od zawsze. Powiernik, najbliższa istota, która – był tego pewien – miała w sobie więcej życia niż dzisiejsza młodzież zawieszona nad ekranami telefonów. Od dawna już z nim nie zasypiał – miś zajął bezpieczne miejsce na półce, co miało uchronić go przed dalszą utratą futerka, ale przecież wciąż był dla Rafała ważny!

Tylko ktoś bez serca mógłby zakpić z tej więzi, z lat dziecięcych zaklętych w pluszowym przyjacielu, z chwil, w których tylko on dawał mu siłę, by zmierzyć się ze światem. Z głupotą nauczycieli, wyzwiskami kolegów, ciszą panującą w pokoju rodziców, których nie obchodziło, dlaczego ich syn znów płacze. Rafał się nie wstydził, że historia jego życia była w dużej mierze współdzielona z historią maskotki, ale teraz poczuł się tak, jakby Magda tym jednym szyderczym śmiechem odarła z czaru jego wspomnienia i zabrała mu poczucie bezpieczeństwa.

Minął ją bez słowa, wyjął z szuflady bieliznę, słusznie zakładając, że jej będzie potrzebował najwięcej, i dopchał plecak skarpetami. Z podróżnej walizki wysypał brudne ubrania i zastąpił je świeżymi. Bałagan na podłodze w ogóle go nie obchodził. Chwycił jeszcze śpiwór i dodatkową bluzę, a po chwili namysłu także karimatę wciśniętą w kąt szafy. Misiek trafił do mniejszej walizki.

Wyszedł, nie zaszczycając Magdy spojrzeniem i delikatnie zamykając za sobą drzwi. Pewnie spodziewała się, że nimi trzaśnie, ale on nie chciał dawać jej satysfakcji.

Uważał, że cisza bardziej boli.

Gdy wyjeżdżał z parkingu, nie miał pomysłu, co ze sobą zrobić. Nie chciał wpraszać się do nikogo ze znajomych. Wiązałoby się to z opowiadaniem o tym, co się stało, z czyimś współczuciem, stałby się tanią sensacją. Nie, nie czuł się na siłach, by rozmawiać z kimkolwiek, pragnął być sam.

Hotele? Wolał na żaden nie wydawać kasy. Byłoby go stać na taki nocleg, ale lata biedowania na stypendium doktoranckim nauczyły go, by nie szastać pieniędzmi, bo za chwilę okaże się, że ma ich za mało. Schronisko młodzieżowe? Chętnie, ale pokój wieloosobowy go przerażał, a jedynka kosztowała tyle co dwugwiazdkowy hotel. Wrócił do punktu wyjścia.

O dwudziestej drugiej, wtedy, kiedy miał lądować na Okęciu, zaparkował pod wydziałem. Przypuszczał, że budynek będzie zamknięty, ale chyba ktoś musi go pilnować? Wyjął telefon, sprawdził numer do portierni. Po siódmym sygnale połączenie zostało przerwane. Spróbował raz jeszcze.

– Panie Włodku? Jak dobrze, że pana słyszę! Tu Rafał Sobierajski, z pokoju pięćset jeden. Zostawiłem laptop w pracy, a pilnie muszę coś do niego wklepać. Wie pan, te wyniki badań, nad którymi siedzę, te z grantu. Doznałem olśnienia i pomyślałem, że przyjadę, popracuję trochę. W domu mnie wszystko rozprasza, narzeczona zaprosiła przyjaciółki, gadają, śmieją się, jeszcze mnie próbowały wciągnąć w rozmowę. Czy może mnie pan wpuścić na wydział?

Po chwili odbierał klucze i dobrą radę pana Włodka.

– Na przyszłość niech pan pamięta, żeby nie udzielać tak wielu informacji komuś, kto o nic nie pyta. I tak bym pana wpuścił, nie pan pierwszy ucieka z domu. Gackowski regularnie tu sypia, ma w domu trójkę małych dzieci. Poprzedni dziekan też nocował, gdy żona odkryła, że pojechał

na półroczne stypendium do Stanów z kochanką. Ja tu, panie Rafale, jak spowiednik jestem, tajemnica rzecz święta. A umyć może się pan w naszym socjalnym, na pierwszym piętrze, tam jest teraz otwarte. Mamy prysznic.

Sobierajski poczerwieniał, podziękował i wrócił do samochodu po śpiwór i plecak. Ręcznika nie wziął, ale wytrze się papierowymi, jutro jakiś sobie kupi.

Kolejnego wieczoru pan Włodek przyszedł do niego z piwem.

– Bezalkoholowe dla mnie, dla pana coś mocniejszego. Jak pan chce, pogadamy, jeśli nie, wypijemy na dobry sen i pomilczymy. Wie pan, panie doktorze, ja to lubię siedzieć w ciszy, ale nie w swoim domu. Dlatego biorę tu nocne zmiany, za porannymi nie przepadam. W nocy mam spokój, za dnia studenci się kręcą i hałasują. Teraz może mniej niż kiedyś, bo każdy z nosem w telefonie, rozmawiać już nie potrafią... Zdradzę panu, że zastanawiałem się kiedyś, jak wy te zajęcia prowadzicie. Gadacie do siebie?

– Do ściany. Do siebie trochę głupio, dlatego ja skupiam się na ścianie. Jest równie elokwentna jak młodzież, ale w przeciwieństwie do studentów wydaje się, że mnie słucha. Oni grzebią wtedy w komórkach, zabronić im niczego nie można, bo w ankietach człowieka obsmarują, napiszą, że przychodzę nieprzygotowany na zajęcia albo na niczym się nie znam.

– Nie pojmuję, jak mogą was oceniać. Sami nic nie wiedzą.

– Oj, wiedzą, panie Włodku, jak lawirować. Jak iść po linii najmniejszego oporu, jak komuś dokopać, jeśli może im to w czymś pomóc. Jasne, że nie wszyscy, ale wielu przychodzi tu tylko z żądaniami, od siebie nic nie dają. Mam ich

nauczyć, ale w taki sposób, żeby nie musieli przeczytać żadnej książki, żeby niczego nie wkuwali w domu. Za moich czasów było to nie do pomyślenia...

Portier pokiwał głową. Które pokolenie wykładowców tak mówiło? Każde narzekało na młodzież, ale teraz już chyba naprawdę mieli na co. Z drugiej strony, co on o tym wiedział?

– Widzi pan, ja bym dużo dał, żeby mieć się na kogo złościć, że się nie uczy – powiedział cichym głosem. – Mój syn też tu studiował, dwa lata.

– Przeniósł się na inny wydział czy w ogóle zrezygnował?

– Umarł – odpowiedział pan Włodek. Tak po prostu. Jakby informował, że śnieg właśnie zaczął padać.

Rafał osłupiał. Odstawił wolno puszkę z piwem. Wydało mu się niestosowne, by w takiej chwili pić, a choćby tylko ją trzymać.

Nie miał pojęcia, co powiedzieć, poza wyświechtanym „bardzo mi przykro". Żadne słowa nie są w takich chwilach odpowiednie.

– Niech się pan nie martwi, panie doktorze, nikt nie wie, jak się zachować, gdy o nim mówię. Dlatego staram się nie rozmawiać, ale dziś jest taki wyjątkowy dzień i nie mogłem się powstrzymać. Bartek zaczął umierać równo ćwierć wieku temu. W tym dniu dowiedzieliśmy się o nawrocie choroby. Dziś pewnie byłby ojcem, może nawet dziadkiem, gdyby się szybko postarał! Ale nad tym się zwykle nie zastanawiam, bo bym oszalał. Wolę nie pamiętać, że nic po mnie nie zostanie, żaden genetyczny ślad.

Mężczyzna zapatrzył się w swoje odbicie w ciemnym oknie, Rafał dyskretnie przesunął się nieco w bok, aby nie

zakłócać mu tego intymnego kadru. Nie chciał, by w szybie widać było dwie twarze, bo jego nie była tą, którą portier chciałby zobaczyć.

– Był dobrym dzieckiem, ambitnym. Nie mieliśmy wtedy za dużo pieniędzy, studia w dużym mieście kosztowały, chociaż akademiki były tańsze niż dzisiaj. Myśmy mieszkali... Nazwa panu nic nie powie. Namawiałem Bartka, żeby poszedł gdzieś bliżej, ale uparł się, że to najlepsza uczelnia, że duże miasto, że się wybije, bo jest zdolny. Miał rację, był. Tylko nam było głupio, że tak go zniechęcamy, ale wie pan: budżet nie był z gumy, a trójka dzieci na utrzymaniu, tamte były młodsze. Też fajne dzieciaki.

Głos pana Włodka nieco zadrżał. Tak jakby bał się kolejnych słów.

– One też... Też ich straciłem. I żonę. Wypadek, rok po śmierci Bartka. Myśli pan, że to niemożliwe, prawda? Że statystycznie tyle zła nie może spaść na jednego człowieka. To ja panu powiem, że wie pan, statystyka mówi jedno, a życie drugie. Te cztery śmierci pewnie ominęły inne rodziny. Może takie, które by się nie podźwignęły? Ja już nie miałem nikogo, więc w jakiś sposób było mi łatwiej. No niech pan tak nie patrzy! – Pan Włodek skrzywił się i pociągnął solidny łyk bezalkoholowego piwa. – Jak się ma bliskich ludzi, trzeba o nich dbać. Pocieszać w żałobie, nawet jeśli nie wie się jak i samemu nie ma na nic siły. Trzeba mówić, że wszystko będzie dobrze, że się ułoży, że zmarłemu jest gdzieś tam lepiej, bo już nie cierpi, nic go nie boli. Gada się takie rzeczy, chociaż samemu się w nie nie wierzy. Siebie okłamywać nie trzeba.

Rafał otworzył usta, po czym je zamknął, nie wypowiadając żadnego słowa. Ponownie nie znalazł właściwego.

– Bartek poszedł do pracy, uparł się, że zarobi na studia. Odkładał każdy grosz, nie imprezował, był bardzo obowiązkowym chłopcem, ale o tym już chyba mówiłem? Może nie... Pracował tak cały rok, zaoszczędził, zdał egzaminy i wreszcie mógł wyjechać na wymarzoną uczelnię. Jak on się cieszył! Myśmy byli z niego bardzo dumni i nie powiem, daliśmy mu też solidną wyprawkę, bo gdy on pracował, mnie było głupio, że się dzieciak zaharowuje. Wziąłem nadgodziny. Wiesia, moja żona, musiała zostać w domu. Młodszy z chłopców, Wojtek, ciągle chorował.

Sobierajski drgnął na dźwięk znajomego imienia. Przed oczyma stanęła mu narzeczona jako pani Wojciechowa, w czerwonym pasie do pończoch, z niemowlęciem na ręku i starszym dzieckiem uczepionym kolan. Odpędził ten obraz, zniesmaczony własną wyobraźnią.

W takiej chwili mogłaby mu dać spokój.

– Wojtek miał dziesięć lat, jak zdiagnozowano u niego wadę serca. Na operację trzeba było poczekać, ale mieliśmy czas. I nadzieję. Mogliśmy, jak przekonywali lekarze, żyć prawie normalnie, jednak Wiesia skupiała się na pilnowaniu najmłodszego na każdym kroku, trochę zaniedbując średniego, Karola. Ja z kolei znów brałem dodatkowe zlecenia, żeby odłożyć pieniądze na czas, kiedy będą potrzebne na leczenie. W ten sposób oboje schrzaniliśmy sprawę. Nie zauważyliśmy, z kim Karol się włóczy, z kim popija, że kleje wącha. Tak, rodzice zawsze popełniają błędy, a największym jest to, że ufają swoim dzieciom. Wierzymy, że sobie poradzą, pokochają kogoś wartościowego i będą szczęśliwe, a tymczasem one zawalają rok w szkole, nie mają przyjaciół i zakochują się w idiotkach. Albo idiotach.

– To prawda – westchnął Rafał. Tym razem wreszcie mógł coś powiedzieć z pełnym przekonaniem, ale portier go chyba nie słuchał.

– Ja wtedy żyłem w przeświadczeniu, że Wojtek będzie zdrowy, Karol sobie radzi, a Bartek skończy wymarzone studia. Przejechałem się na tej wierze. Bartek wrócił do domu na Wielkanoc jakiś zmęczony, blady, z gorączką. Wiosna, nic dziwnego, że coś złapał. Pewnie jadł byle co, jak to studenci, nie sypiał po nocach. Nie przejęliśmy się zbytnio, ale w lany poniedziałek gorączka mu podskoczyła, następnego dnia nie było mowy, by o własnych siłach wstał z łóżka. Poszedł rano do lekarza, wrócił z antybiotykiem. Tylko że antybiotyk nie pomógł. Po dwóch dniach zawieźliśmy go do szpitala, tam mu zrobili badania. Ostra białaczka szpikowa. Wdrożono leczenie, chemię, istny koszmar trwał nieco ponad rok, jednak młody organizm walczył i zaczęło być coraz lepiej. Bartek chciał kontynuować studia, mówił, że dzięki temu zapomina, że jest chory. Wrócił na uczelnię i śmiał się, że wszyscy zwracają na niego uwagę, bo chodzi na zajęcia w czapce. Wie pan, włosy mu wypadły i było mu zimno w głowę albo się wstydził. Nie wiem. Wtedy dzieciaki inaczej traktowały swój wygląd. Grupa bardzo go wspierała, pojechali nawet razem na wycieczkę za granicę. Jego pierwszy, jak się okazało, i ostatni taki wyjazd. Wydawało się, że wszystko się układa. On miał nadzieję i wiarę, i chyba więcej siły niż Wiesia i ja. – Pan Włodek westchnął, przesunął książkę leżącą na skraju biurka, uśmiechnął się lekko, widząc wystający z szafy rozbebeszony śpiwór. Rafałowi nie chciało się go składać i teraz zawstydził się swojego bałaganiarstwa, myśląc jednocześnie, czy Bartek ścielił

swoje łóżko. Jemu nie każdego ranka udawało się doprowadzić pokój do ładu, a gdy wracał z pracy, sprzątanie nie miało już sensu. Gdy zamieszkał z Magdą, porządkami zajmowała się pani Mirka.

– W czasie kolejnej sesji zimowej Bartek oblał pierwszy w życiu egzamin. Nie dlatego, że się nie nauczył, a dlatego, że profesor wywalił go z sali, jeszcze zanim podał pytania. Właśnie za tę czapkę, bo jej nie zdjął. Cały rok się za nim wstawił, ale facet był uparty, postawił Bartkowi dwóję. Studenci go znienawidzili, długo jeszcze nikt nie chciał się zapisać na jego zajęcia. – W oczach mężczyzny pojawił się cień dawnej złości, na ustach zagościł grymas podszyty satysfakcją.

– Co za gnój! – wyrwało się Rafałowi. – Dziś coś takiego byłoby nie do pomyślenia. Mamy osoby odpowiedzialne za pomoc studentom w takich sytuacjach, facet zostałby wezwany do dziekana i stanął przed komisją do spraw etyki... – nakręcał się z każdym słowem, ale portier tylko machnął ręką.

– I co komu po takich komisjach? Myśli pan, że kogokolwiek nawróciły? Raczej potęgują złość. Ci, co przed nimi stają, czują się niesłusznie oskarżeni. Wie pan, gdyby był cień nadziei, że mogą na siebie spojrzeć inaczej, zrobiliby to bez sądu. Dlatego jak ktoś mendą się urodził, mendą zdechnie. Tacy jak on, gdy spotykają ich problemy, zaczynają szukać winnych, kogoś, kogo mogliby znienawidzić, na kim się wyżyć. W ich głowach nie ma miejsca na refleksję, co mogliby w sobie zmienić, jak stać się lepszymi ludźmi. Za wielu takich widziałem, żeby mieć na ten temat inne zdanie. A pan niech się nie zastanawia, który z pana kolegów tak się zachował. Już dawno tu nie pracuje. Zdaje się, że umarł, ale tego nie jestem pewien. W każdym razie

Bartek nie zdążył za długo się tą sprawą złościć, nie poprawił też nigdy oceny. Nawrót choroby był nagły, jak uderzenie, po którym nie sposób się podnieść. Nie zdążyliśmy się z nim pożegnać, chociaż byliśmy przy synu non stop. Nie miał siły na rozmowy, był już w zasadzie po tej drugiej stronie, a nie z nami. Czasem mam do siebie żal o to, że tak żeśmy przy nim siedzieli... Pewnie zatrzymywaliśmy go przy sobie, a on był już bardzo, bardzo zmęczony. Chciał odejść, ale nas kochał i nie chciał skrzywdzić. – Głos pełen bólu cichł coraz bardziej, pewnie tak, jak kiedyś oddech jego syna. W pewnym momencie zamilkł i po chwili Rafał zdał sobie sprawę z tego, że sam przestał oddychać. Z wysiłkiem wypuścił resztki powietrza zgromadzone w płucach i głośno zaczerpnął nowego. „Jak dziecko po narodzinach", pomyślał.

Słuchając o czyjejś śmierci, chce się zaczarować rzeczywistość i przesunąć wajchę rozmyślań w stronę życia.

– Wie pan, dzieciom trzeba pozwolić odejść. Do własnego życia... Albo do własnej śmierci. Nie wolno ich na siłę zatrzymywać. Muszą rozwinąć skrzydła tu albo na jakimś innym ze światów. Kiedy próbujemy uwiązać je przy sobie, sami też się wiążemy, a przecież każdy rodzic w głębi duszy tęskni za chwilą, kiedy będzie mógł zająć się swoimi sprawami. Wyjechać gdzieś, nauczyć się malarstwa albo pójść spać o dziesiątej, a nie po północy, bo może dziecku trzeba pomóc przy lekcjach czy po prostu z nim pogadać.

– Nie wiem, czy dziś jeszcze rodzice rozmawiają z dziećmi – wyrwało się Sobierajskiemu. W drodze do pracy mijał przedszkole i często stał w tym miejscu na światłach. Patrzył wtedy na młode matki szczebioczące coś do telefonów, na ojców załatwiających niecierpiące zwłoki sprawy

przez smartfony, na kilkuletnie dzieci, często jeszcze siedzące w spacerówkach, bo tak pewnie łatwiej nad nimi zapanować, trzymające w małych, pulchnych łapkach tablety. Ci ludzie nie tracili czasu na opowiadanie bajek, jeśli już, to puszczali audiobooki. Nie pytali dzieci, co lubią, bo i tak decydowali za nie. One też nie zadawały pytań – dlaczego psy nie noszą majtek, czemu na drzewach jest tyle liści i czy kiedy spadają jesienią, drzewo to boli. Nikt im nie pozwolił na ciekawość, zabiły ją pełne niecierpliwości słowa „nie teraz, nie przeszkadzaj". – Kiedy ja będę miał swoje, będę im opowiadał różne historie, czytał książki, będę z nimi gadał o wszystkim – zadeklarował, ale pan Włodek tylko się uśmiechnął, słysząc tę buńczuczną zapowiedź.

– Jasne, tak się panu teraz wydaje. Później będzie pan marzył, żeby gówniarz chociaż na chwilę zajął się swoimi sprawami. I dopiero gdy zaśnie, będzie pan siedział przy jego łóżku i wsłuchiwał się przez godzinę, jak pochrapuje. Będzie pan wtedy wymyślał, co mu się śni, wzruszał, jaki cud udało się panu stworzyć. Przez tę godzinę, której nie poświęcił mu pan za dnia, zabiegany, zajęty swoimi sprawami.

Rafał przełknął ślinę. Miał kiedyś psa, z którym nienawidził wychodzić. Szkoda mu było czasu na spacery, wolał go spędzać z kolegami, kundel był tylko przeszkodą. Ale kiedy psiak wskakiwał na fotel i zasypiał, potrafił gapić się, jak marszczy nos, węszy, przebiera łapkami, biegnąc za śnionym kotem, śmiał się, słysząc, jak powarkuje lub szczeka zabawnym, cienkim głosem. Pewnie to nie to samo co z dzieckiem, ale chyba podobnie?

– Kiedy dziecko umiera, siedzi się tak samo, tylko łóżko jest już puste. I też myśli się o tym, jak było wspaniałe,

i o wszystkich słowach, których się nie usłyszało... Żałuje się czasu. Każdej zmarnowanej chwili. Tego zwyczajnego życia, zabierającego nam momenty, które moglibyśmy spędzać razem z bliskimi.

Coś zabulgotało w rurach, po czym rozległ się przeciągły szum, jak gdyby kaloryfery nagle nabrały ogromną ilość wody. Pan Włodek wyciągnął dłoń w stronę grzejnika.

– Ciepłe – ocenił. – Ostatnio miałem wrażenie, że jest tu nieco chłodniej, wie pan, w budynku.

– Zima, to musi być zimno – błysnął cytatem Sobierajski, ale nie doczekał się żadnej odpowiedzi.

– Kiedy zginęła Wiesia, też była zima. Ta pora roku odebrała mi całą rodzinę. Byłem w pracy, ona z Wojtkiem wychodziła do lekarza i wtedy pod blokiem zobaczyła Karola. Nie poznał jej, jak mówiła później sąsiadka. Siedział przemarznięty na ławce, wie pan, jeszcze były mrozy. Cały ośliniony. Nie kontaktował. Wiesia zaczęła nim potrząsać, a wtedy zwalił się na ziemię. Wtaszczyła go z pomocą sąsiadów do samochodu, wpakowała Wojtka i ruszyła do szpitala. Nie wołała karetki, była pewna, że tak będzie szybciej, a komórek, wie pan, jeszcze nie było. To znaczy, były, ale drogie, myśmy jeszcze nie mieli. Musiała być bardzo zdenerwowana, bo nie zatrzymała się na przejeździe kolejowym. Policja pocieszała mnie, że to był moment, że nie cierpieli, ale, wie pan, to marna pociecha. Rodzinę zastąpiły mi duchy. Słyszałem ich kroki, głosy, byłem pewien, że czuję perfumy Wiesi i widzę chłopców. Kilka tygodni później rzuciłem pracę, sprzedałem mieszkanie, przeniosłem się tutaj. W domu miałem już cztery puste łóżka, nie mogłem równocześnie przy wszystkich siedzieć.

flow

wydawnictwoflow.pl

PRZY ULICY HUSYCKIEJ 3 CZEKA MIESZKANIE, KTÓRE SAMO WYBIERA SWOICH LOKATORÓW.

Rafałowi przewidywalna przyszłość wystawiła walizy za drzwi. Dla Natalii podróż do Polski wyjątkowo nie jest ucieczką, a powrotem. Arletę Atlas poprosił, by podtrzymała niebo i dotąd nie wrócił.

Ich historie, niczym trzy bajki splatają się w jedną zimową opowieść w miejscu, w którym codzienność zaczyna pachnieć świętami, tajemnice wychodzą na światło dzienne, a odrobina magii potrafi odmienić więcej, niż ktokolwiek się spodziewa.

TRZY BAJKI. OPOWIEŚĆ ZIMOWA to ciepła, przewrotna, nieoczywista powieść podszyta humorem. O rodzinie, która potrafi zranić, ale też ocalić. Stracie, po której trzeba nauczyć się żyć inaczej. I o tym szczególnym momencie, w którym koniec okazuje się początkiem czegoś zupełnie nowego.

W sprzedaży także:

ebook audiobook

Patronat medialny:

Nie czytasz? Nie idę z Tobą do łóżka!

flow

Cena 49,90 zł

ISBN 978-83-8364-237-6

9 788383 642376